1844. Nr 11. ROK 3.

Redaktor Główny Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

OBRAZEK.

I.

Przy kratowaném oknie, stał młodzian i myślił —
Szerokie widać pole marzeniom nakréślił,
Bo wzrok jego utkwiony bez myśli, bez czucia,
Zimny, chłodny, jak kraty żelazne okucia. —
Czy tak w przeszłość zatonął? czy tak przyszłość bada? —
Odżył, w oku łza błyska, toczy się i spada. —

Biédny młodzieńcze z czuciem rzucony śród ludzi!
Czy mniemasz, że łza twoja współczucie w nich wzbudzi?!

Ależ jakże nie płakać, kiedy serce pali
Żar ostatnich uścisków, co mu krewni dali?
Ale jakże nie płakać, gdy pierś przepalona
Jéj boskiém uściśnieniem i biciem jéj łona!
Kiedy w sercu brzmią jeszcze ostatnie ich słowa!
Czemuż go własny wyraz przeraża „bądź zdrowa!“
Wszak dawniéj zwykle temi żegnał ją wyrazy?
Lecz ile razy żegnał, witał tyleż razy,
A dziś, czyż przywitania może mieć nadzieję?
Ach! on wié: — Wszystko stracił — dla tego łzy leje. —

A czas leci i leci — słońce przy zachodzie
Ognistym jeszcze słupem odbija się w wodzie,
Błędne chmurki raz jeszcze zdobiąc w swe promienie,
Zagasło obojętne na łzy i cierpienie.—
Weszła noc i gmach cały w głuchą ciemność wtrąca,
Ale miasto jaśnieje od świateł tysiąca —
Śród gwarnych jego ulic pędzi wóz pocztowy
I grzmi po twardym bruku szybkiemi podkowy. —
Na zakręcie ulicy padł nań blask latarni,
Był w nim młodzian — z oblicza widać jad męczarni
Najsroższéj, najdotkliwszéj — wzrokiem błyskawicy
Rzucił na prawo, w ciemnéj utkwił go ulicy.
Ach! ileż razy tędy do jéj objęć śpieszył!
Dziś tutaj cierpi tyle, gdzie dawniéj się cieszył!
Znikła — próżno jéj chciwie szuka jeszcze oko,
Spuścił głowę na piersi i westchnął głęboko.

W téj chwili z widowiska wracał tłum radośny
Upojony rozkoszą — ta wrzawa, śmiech głośny,

Szepty kobiét, wesołość bezmyślnéj czeredy
Zbudziły marzącego — on zaśmiał się wtedy.
Ten pozna ile czucia w tym śmiechu się mieści,
Kto doznał, co jest rozpacz, co nadmiar boleści. —

Lecz wkrótce most zahuczał i w młodzieńca duszy,
Powstające uczucia przytłumia i głuszy. —
Z wzgórza raz jeszcze spojrzał na miejsca kochane,
Teraz milczące, nocy cieniem przyodziane.
W téj chwili najzjadliwsza w nieszczęściu gadzina,
Pamięć, każdą mu chwilkę szczęścia przypomina,
Całe zginione życie przed oczyma stawia,
I coraz mocniéj serce zbolałe zakrwawia. —
Aż przecie noc młodzieńca dotknięta cierpieniem,
Wszystko powlekła ciemną szatą i milczeniem. —

2.

A czas leci i leci — płyną dni i lata. —
Młodzieniec wiedzie życie w drugiéj części świata —
Lecz jakież jego życie? — dręczyć się bez końca,
W niespanych nocach chciwie oczekiwać słońca,
Przy słońcu wzdychać znowu za nocy nastaniem.
Ciągle rozdzierać duszę tém porównywaniem
Obecności z przeszłością, bólów piekła z rajem;
Obcym być wszytkim mową, sercem i zwyczajem,
Wszędzie, zawsze, spostrzegać obojętne twarze,
I chłodne chować lica przy serca pożarze.
Zabijać się z wątpieniem o ludziach i bóstwie,
Patrzeć na swój skon wczeńny w takiém bolów mnóstwie,

I końca cierpień w śmierci tylko upatrywać.....
Takie istnienie życiem czyż można nazywać?!

Z razu kilka wyrazów jéj ręką kreślonych
Uspakajało wściekłość zapędów szalonych,
Dodawało mu siły, stałości, nadziei,
Że i dlań może szczęście zabłyśnie z kolei.
Ale i ta pociecha wkrótce go odbiegła,
I straszna cisza wszystko do koła zaległa. —

Więc już go zapomniała?! — prawdaż więc niestety!
Że zbyt krótko w nieszczęściu trwa miłość kobiéty?!
Lecz nie! to być nie może! wszakże tyle razy
Powtarzała przysięgi świętemi wyrazy,
Że się dla niego wszystko porzucić ośmieli,
Że z nim najsroższe nawet cierpienia podzieli.
Gdzież są te obietnice? próżno sercem woła:
Przyszłość mu tylko na to odpowiedziéć zdoła. —

3.

Przecież po tylu burzach błysnął dzień pogody. —
Młodzieniec wraca do swéj rodzinnéj zagrody.
Znów wita drogie miasto — lecz jakże nieśmiało!
Czyż mu długiém cierpieniem serce skamieniało?
O! nie! to serce bije gwałtownie, jak dawniéj,
Tylko radości nie śmié oddawać się jawniéj,
Szczerzéj, bo owoc cierpień, okropne zwątpienie,
I obawa pewności tłumią uniesienie. —

Niebo o kilku gwiazdkach, groźne. zachmurzone,
Jeszcze bardziéj zasępia przeczucia wzbudzone.
Gorąco, duszno, zda się, że przyroda cała
Zapaliła się ogniem, co mu w piersiach pała.
On śpieszy — już tak blisko do lubéj mieszkania —
Otwarte okna lekka zasłona osłania —
Słychać zdala znanego fortepianu dzwięki,
Znanym głosem nucone wyrazy piosenki. —
Ach! na ten głos tak luby, na dzwięki tak znane,
Zadrżał, osłabł, oparł się o pobliską ścianę.
Bo tysiące w nim myśli zawrzało gwałtownie,
I tysiące go uczuć dręczy niewymownie,
I rozum zanurzają w dziwnéj gmatwaninie,
W któréj lśni tylko przeszłość, teraźniejszość ginie.

Znikły — podszedł ku oknu — iskrzące zrzenice
Z całą wściekłością uczuć utopił w jéj lice,
Pewno jego spojrzenie jéj urok osłabił,
Takiém jedném spojrzeniem inną byłby zabił.
Przy niéj siedział młodzieniec i patrząc w jéj oczy,
Szepcząc pochwały słuchał muzyki uroczéj,
A ona z tym wszechmocnym uśmiechem anioła
Przyjmowała je chciwie, szczęśliwa! wesoła! —

Księżyc błysnął z-za chmury — w szerokiéj ulicy
Już nie widać nikogo, lecz słychać dziewicy
Głos czarowny, wszechmocny — wyrazy piosenki
Wesołéj — i znanego fortepianu dzwięki. —

4.

O! nocy! cudna nocy naszych dni wiosnowych!
Któż się nie kocha w twoich wdziękach milionowych?!

Któreż cię młode serce nie wita ochoczo?
Komuż się nie uśmiechasz przyjaźnie, uroczo?
W twych złotych oczach siła niepojęta błyska,
Na twój widok nadzieja do serca się wciska,
Twoja szata szczęśliwych kochanków odziewa,
Twą ciszą ośmielony wieszcz dumy swe spiewa,
I wzrok natchniony w czystych nurzając niebiosach,
Duma z rozdartém sercem o ludzkości losach. —

Młodzian strudzone kroki zwraca w bratnie progi.
W skromne chaty rolników już zstąpił sen błogi,
W jednéj tylko światełko miga w oddaleniu.
Jéj mieszkaniec samotny przy bladym płomieniu
Wsparłszy oburącz czoło, oczami chciwemi,
Zda się, że cóś chce wydrzeć z wielkiéj karty ziemi.
Czasem długie westchnienie płynąc z głębi duszy
Wzruszy pierś samotnika, lecz oka nie wzruszy.
W koło pusto, smutno i cicho straszliwie,
Swierszcz się tylko czasami ozwie przeraźliwie. —

Nagle brzęknęła klamka — wrzawa niespodziana
Zbudziła samotnika, on spostrzegł młodziana;
I z jednakiém uczuciem, z jednakiemi słowy
Padli w swoje objęcia, bez myśli, bez mowy.
Zda się, że w tym uścisku ognistym, serdecznym
Połączyli się węzłem nierozciętym, wiecznym. —
Na skreślenie ich czucia ja nié mam wyrazu —
Ziemia nié ma kolorów do tego obrazu. —

O! święta i najczystza! braterska miłości!
W Tobie nadzieja, w Tobie pociecha ludzkości!
Bądź i dla mnie nadzieją! wspieraj słabe siły,
By znieść co srogie losy dla mnie przeznaczyły,

I choćby chwilę tylko przed ostatniém tchnieniem,
Wynagródź mnie choć jedném takiém uściśnieniem!

Skończyłem.—Nie dla wieńca poetycznéj sławy
Znów wziąłem pióro w rękę — ni dla czczéj zabawy.
Może nie jeden słuchacz z wieloważném zdaniem
Nazwie tę powieść fałszem, lub naśladowaniem,
Będą jednak, co zbiegłszy myślą te koleje
Poznają, że pisałem zbyt prawdziwe dzieje. —

Karól B. z Jarocławca

Grudzień
1841 *r.*

MŁODOŚĆ MOJA

I

PRZEJAŻDŻKI PO KRAJU.

Któż nie kocha strony, gdzie urosły wszystkie jego wspomnienia, gdzie się wykarmiło uczucie i wyobraźnia, dojrzał rozum, i wola dała uczuć całą wielkość życia? Każdy też kocha to, co go otacza, lubi wspomnienia chwil zapadłych w przeszłość na wieki. I ja lubię swoje Mazowsze, lubię brzegi Wisły: bo to domek szczupły, ale własny. Widziałem tyle stron piękniejszych, ale nigdzie nie czułem tyle wonnego zapachu życia. Wychowany na równinach, przywykłem do nich, jak do potocznego upływu życia — nad górzystemi brzegami Wisły rozwinęło się wszystko, co jest we mnie, i złe i dobre. Wszystko tu tak proste, miłe i rzewne..... Długie lata miną nieraz śród głębokiéj ciszy i pokoju, fale życia płyną po zwierciadlanéj powierzchni czasu, a wietrzyk drobnych trosk lub przyjemności muśnie je zlekka i wzruszy swoim odde-

chem — człowiek rośnie ze wszystkiém, co go otacza, spokojny! bo odpowiednie swemu przeznaczeniu na ziemi. — Ale są chwile straszne w życiu, kiedy niebo ryknie gromem aż serce zaboli, i w duszy głuche się echo odbije cierpienia, zawyje pieśń burzy. Któż taki stan opisze, któż ogrzeje duszę zziębłą od cierpienia, kto nagrodzi matce stratę syna lub synowi matkę? Toż samo potoczne życie i to, co nas w niém otacza...... ale takie wypadki w głębi przenikają duszę i odkrywają nam nieśmiertelne, tajemnicze życie w przyszłości, i na świat, na nas samych patrzyć każą z pewnym rodzajem świętości. Może-ż być niegodziwym i występnym, kto doznał nieszczęścia? Nie, chyba przez zapomnienie i słabość ludzką, przez złość nigdy. Częstokroć nieszczęcie dotyka całe rodziny, pokolenia, narody — wtedy Opatrzność niewidzialną dłonią prowadzi je do celu niepojętego, czyni lepszémi, godniejszémi swego przeznaczenia na ziemi. W życiu człowieka, jak w życiu całych narodów, niepodobna nie czuć w pewnych chwilach bezpośredniego wpływu Boga na ziemi. Wielu rzeczy wyrozumować sobie nie możemy, ale słodkie przeczucie i tęskna zaduma zakwiecają życie potoczne. Bóg daje się czuć wszędzie tylko przez dobrodziejstwa, a sam niewidzialny — człowiek jest obrazem Boga, gdy działa dla dobra swych braci, myśląc tylko o ich szczęściu, nie o sobie. Takie szczęście ludu udziałem widziałem na swoje oczy: dobry byt ludzi, których opatrzność poruczyła Twoim staraniom Pani — nie śmiem obrażać skromności hołdem wielbienia, ale na pamiątkę chwil ubiegłych nad brzegami Wisły, wspomnienia te różnych miejsc i chwil życia, i Tobie Pani poświęcam.

MŁODOŚĆ MOJA,
I PRZEJAŻDŻKI PO KRAJU.

I.

NAD brzegami Wisły, gdzie zamek Władysława Hermana dziś ledwie słabe szczątki w gruzach po sobie zostawił, w Płocku, upłynęły mi lata szkolnego życia. Ileż to było nieraz płaczu przy porzucaniu rodzinnego ustronia — jakże mi się Płock zdawał ogromny, ileż razy w nim zabłądziłem! Od dzieciństwa przywykłe oko do równin, spotykało z zadziwieniem górzyste brzegi Wisły i zamki, wieże, kościoły, te unieśmiertelniające przodków naszych pomniki. Jak w sennėm marzeniu przypominam sobie Wisłę pod Wyszogrodem, górę i klasztor Czerwińska, widziane jeszcze w piérwszych -atach młodości. W kollegium Płockiem straszono nas Jezuitami, i nikt wieczorem przez gmach szkolny przejść nie śmiał. Przy tumskiéj dzwonnicy strach było przechodzić wieczorem, a za kościołem grywaliśmy w piłkę. Nie jeden śmiałek pukał w nocy do żelaznych drzwi, wiodących w podziemia i pieczary grobowe pod kościołem. Słyszałem nieraz powieści o wychodzących po śmierci kanonikach, co musieli pokutować po śmierci i kończyć msze nie odprawione za życia. Obok kościoła, a raczéj klasztoru Missionarzy, stoi dotąd wieża stara,

poszczerbiona kulami — tu piérwszy raz słyszałem o krzyżakach, szturmujących niegdyś do zamku. U góry widać okno, tam sadzać mieli szlachtę w okowach strasznych, i trzymać w powietrzu zawieszonych na prętach żelaznych. W murze kościoła był zamurowany jakiś ksiądz za karę. Wiele, wiele innych jeszcze było wieści, których dziś już nie pamiętam. A straszno było o nich słuchać, bo zwykle gawędki szły wieczorem na gruzach grubego muru, sterczącego dotąd obok Tumu, po rozebraniu mieszkania Suffragana. Sowy puchały na kościelnych wieżach, nieraz się nietoperze trzepały, jak zaklęte duchy, a spać się nie chciało, bo księżyc pięknie przyświécał. Straszniéj jeszcze było przechodzić około kościoła w nocy, kiedy wicher szumiał między Tumem a klasztorem i stanowiącemi dlań bramę wchodową od Wisły do miasta. Wtedy, jak dotąd, jedno tylko światełko lampy gorejącéj w bocznéj kaplicy, dodawało cóś uroczystego i poważnego ciemności nocnéj. Nieraz siadaliśmy na tarasach z książką, a uczyć się nie zawsze chciało, bo przed okiem rozwijał się widok malowniczy kościoła i Dominikańskiego ogrodu na pochyłości góry, poważna Wisła i płynące po niéj berlinki, miłe Radzice rozesłane nad brzegiem Wisły na płaszczyznie, którą w dali bramują lasy. Sam Płock nie był wtedy tak dobrze zabudowany, jak teraz — na rynku kanonicznym wznosiły się znaczniejsze domy, był zamiar, a przynajmniéj słyszéć się dawały pogłoski o wystawieniu na środku tego rynku pomnika dla Sarbiewskiego Mazura, który ię o milę od Płońska urodził, i wart zaiste pomnika w jednéj ze stolic Mazowsza. —

2.

Nad brzegami Wisły uczyłem się kochać piękności swojéj ziemi, ale to tylko wstęga powiewająca śród naszych równin

piaszczystych. Równiny te okiem nieprzejrzane, mało pamiątek mają, a raczéj rzadko cóś uderzającego spotkać się zdarzy, ale za to mocniéj wszystko, niezwyczajnie przemawia do duszy. Wszystko tu tak zwyczajne, jak potoczne życie, potoczne potrzeby. Tu pobożne uczucie wiary, tam przesąd — tu odpusty, tam czary. Po różnych stronach cudowne miejsca, śluby i do nich, i do Matki boskiéj Częstochowskiéj, gdzie idą całe kompanije rok-rocznie. Za lasami, daleko, jak na Ukrainie, jest małe miasteczko *Żuromin*, z dwiema ulicami, dwoma rynkami niebrukowanemi, jednym murowanym domem— tam cudowna Matka Boska w kościele OO. Refermartów, tam się uczułem kiedy szkół w Płocku nie było. Pamiętam dobrze księży Professorów z ich białémi paskami, kręconemi w sypły, któreśmy zwali *ogórkami*; pamiętam *erraty*, *audytorów*, *loka* podług *errorów*, rachunek sumienia w sobotę za cały tydzień i tyle innych zwyczajów, zachowanych w owém ustroniu z naszéj edukacyi staropolskiéj. Nie wolno było wtedy zażartować z Alwara, choć go już nie było w użyciu, ale *Pijarka*. Na lekcii i z panem Dyrektorem koniugacije i lokacije na każdéj lekcii wertować trzeba było, reguł się uczyć w domu co do słowa, *excepcije* umieć *expedite*. Jak tylko zaświtało w lecie, już dzwonek na kościele budził wszystkich do pracy. Nigdy tego dzwonka nie zapomnę—słychać go było w całém mieście, i nieraz, odłożywszy lekciję na rano, zrywałem się w nocy, kiedy mi się przyśniło, że już dzwonią na pacierze. Dzwonek i ogórki, były to dwie silne pobudki do nauki. Cwiczono nas osobliwie w łacinie. Ja byłem w drugiéj klassie zwanéj *Gramatyką* — podemną *Proforma* i *Infima* — nademną *Poetyka* i *Retoryka*. Poprawialiśmy czasem *okupacije* z Infimy, a za każdy *error* groziły ogórki lub dyscyplina. Punktem honoru było tajenie się przed Infimą z erratą, gdzie *auditor auditorum* zapisywał zdania dla całéj klassy. Poeci taili się znowu przed nami z wielu rzeczami, i dotąd nie wiem czy mieli erratę, tak ściśle chowano tajemnicę. My Gramatycy nie wdawaliśmy się z Infimą

a Poeci ani chcieli do nas zagadać — o Retorach ani mówić. Była to arystokracija nauki, nasi dyrektorowie, którym się kłanialiśmy, bo każdy z nich, jak ksiądz Professor, mógł cię wytargać za czupryne, wydrzéć za uszy, i jeszcze w drodze łaski dać parę dyscyplin. Nie jeden z nas nigdy nie myślał dojść do tak wysokiego stopnia, Retor, panie, to nie żarty! — z Retora mógł iść prosto na Księdza.... księża professorowie bawili się czasem z nami, szczególniéj na majówce i w czasie rekreacii, ksiądz Prefekt tęgo grał w piłkę, ksiądz Fizyk bił dobrze, a jeszcze lepiéj zmykał, zawinąwszy rewerendy. Tylko ks. Rektor nie grywał.

Matka Boska objawiła się studentowi biednemu, który się dobrze uczył. Nieraz się do niéj modliłem gorąco, a najserdeczniéj, kiedym się nie nauczył lekcii. W domu każdy musiał gospodarować, wydawać lekcije i kasze lub mąkę. Dyrektor pilnował porządku, nie pozwalał się rozchodzić z domu, i głośno się uczyć przy jednéj świécy. Czasem bywały figle rozmaite, mianowicie późniéj dopuszczano się rozmaitych swawoli na cywilnych nauczycielach, którzy nie mieli żadnéj powagi, a karność znikła ze wszystkiém. Jednemu wsadzono na nos skorupę od raka, drugiemu chrabąszcze pod suknie— malowali ławki atramentem i kredą — puszczali ptaki i muchy, *poczlę* t. j. z nitkami i papiérkami — jednego zasypali w śniegu, drugiego naprowadzili w dół pod okno. Któż nie pamięta ś. p. Okulickiego i Trusa w tamtych stronach. Były i inne sprawki, charakteryzując czas i ludzi, dzień i nauczycieli — ale za świeże, aby na wspomnienie zasługiwać mogły. Któż po szkółce nie wyniósł zapasy rozmaitego rodzaju wiadomostek o swoich nauczycielach — najczęściéj młodzież zna ich na wylot.

Na ziemi Mazowieckiéj, a szczególnie w Płockiem, wiele jest tak zwanych *okopów szwedzkich*, a w istocie horodziszcz, grudziszcz, świętych zagród sięgających (pg. Chodakowskiego) czasów pogaństwa. Nie znajdziesz ich przy drodze, ale na polu,

nad wodą lub na górze. Nic tak nie przemawia do mojéj duszy, jak te ślady wydatne, niezgładzone, które ludzkość cała zostawia w swojém przejściu przez ziemię. Puls życia, ludzkość, bije w tych pomnikach, jak krew w żyłach człowieka, a kto się wsłucha w jéj bieg tajemniczy, zdaje się, że czuje, jak myśl przerwała się w życiu, słyszy wzrost ludzki, jak Odyn skandynawski słyszał wzrost trawy. Starowieczne to śluby Słowian a może i nie — Słowian osiadłych na gruzach i popiele hord barbarzyńskich, co przeciągały, jak fala podrywały i unosiły osiadłe ludy — dziś ziemia uprawna popiołem z ich obrazów, nie przechowała imienia, ślady tylko zostały w puściznie najdalszym potomkom. W górzystych stronach Szląska, w części Mało i Wielko-Polski mięszały się pokolenia germańskie, jak tysiące kawek szybujących i wirujących w powietrzu, kiedy szarańcza Gotów, Gepidów, Longobardów, Wandalów, Hunnów, wycięła rośliny rodzinnego bytu. Nie było tego wszystkiego na Mazowszu, bo Germanowie osiedli nad Renem, Wezerą, Elbą, a reszta uporządkowała się nad Odrą i Wisłą — Marsygnowie — Bury — Gotynowie — Ozy — Kwady. Tylko święte zagrody, jak święte gaje Druidów, zostały na równinach naszych, i dziś, gdy to piszę, patrzę na płaszczyznę usłaną lasami i wsiami, a jedna tylko *Łysa Góra* wznosi się śród łąk, gdzie wężykiem wije się Płona. Na téj górze miał być zamek królowéj Bony, ale podania mięszają osoby i rzeczy historyczne różnych miejsc i epok. Dziś niéma śladu murów, tylko ogrody na pochyłości i chatki — czy to nie jest prędzéj jedna z tych świętych zagród, gdzie z nieba dane białe światło religii, przybierało w prysmacie ludzkich wymysłów roskoszne lazury tęczy pogaństwa? Tu bóg w postaci bezdusznego bałwana — tam w księżycu, gwiazdach i słońcu — w roślinach i żyjących stworzeniach — indziéj znowu w postaci ognia się pokazuje. I dziś jeszcze chodzą *mierniki*, jeometrowie, w postaci ogniów błądzących, za to, że źle mierzyli; Chrześcijaństwo bowiem nie

przytłumiło, ale rozkrzewiło wyobrażenia, do których fantazija młodzieńcze ludy podżega. Ogniki starowieczne, Alpy, Elfy, Elpy, Alki, w plastycé ognistéj, zmieniły się pg. wyobrażeń naszych o nagrodach i karach w życiu przyszłém — to co było u Celtów i Naharwalów bez postaci, bez posągu i obrządku, uwiecznia się dotąd może od Zerdusta, każącego śród ogniów górnych. I nasza religija przyszła z Libanu, z tego wschodu Platona, zachodu Konfucijusza, wschodu, o którym do-chrześcijańskie wieki marzyły, i od którego czekały zbawienia.

Gdzie dziś wieś, tam niegdyś miasto było, tu i owdzie; a same miasta poprzenosiły się z dawnych miejsc, to na jednę, to na drngą stronę wody lub wzgórza. Niekiedy kamień, drzewo, nie jest bez znaczenia. Nieopodal wsi Wrony, mnóstwo kamieni na polu, a jeden kamień w lesie do siodła podobny— to Twardowski umówił się z djabłem o zbudowanie mostu kamiennego na Wiśle, i całe zastępy djabełków zbierały kamienie w okolicy Wkry, ale kur zapiał, złe duchy znikły, a kamienie dotąd zostały i siodło djabelskie w lesie przy drodze. Strach tu jechać w nocy, a spać niktby się nie odważył.

3.

Nad brzegami Wisły *Nieszawa*, małe miasteczko, nosi barwę przemysłu, a daléj za naszemi sławnemi piaskami *Raciążek*, na górach odartych z zieloności i życia, kwitnie jak wspomnienie przeszłosci śród ludzi bez duszy i serca. W piaszczystéj dolinie nieopodal pamiętnego Gopła, rozpościera się *Ciechocinek*, szereg domków i warzelnie soli. Z wieżyczki na tężni podczas pogody, widać było czerniący się Toruń — w okolicy bujna roślinność, Wisła z zielonemi brzegi, a zamek nad górą,

przedmiot tylu moich myśli, sterczał jak kościotrup, naigrawający się z głupstw i złości ludzkich. Myśli moje były w walce przechodowéj z uczuciem — w epoce biedy, człowiek zaczyna tracić wiarę w życie, aby ją odzyskać w całéj pełni wypogodzonego rozumu. Co to był za piękny widok! niebo usłane gwiazdzistémi wyspami światów nad piaszczystą płaszczyznę — księżyc oblewający światłem okoliczne dąbrowy, góry piaszczyste i zwaliny zamku.... Czyja dusza nie obudzi się na taki widok rody i przeszłości, nigdy się już nic obudzi. —

4.

Nad brzegami Wisły bieli się kościół w Dobrzyniu, ciągnie się wieniec gór, tych pięknych gór Nadwiślańskich, które wytrzymują porównanie z brzegami Niemna, Wilii i Dniepru. Nieopodal Dobrzynia, wieś Bachorzewo na górze, a nad samym brzegiem dworek w ogrodzie. Tam mieszkałem i tyle chwil przedumałem, przedumałem, patrząc na jasne fale Wisły na piękne i wielkie kępy, na kościołek czerniący się w Wistce za Wisłą, bielący się w Dobrzyniu i Włocławek w mglistéj dali. We Włocławku piekna katedra z pobocznemi kaplicami, piękniejsza niż w Płocku — lecz są dwie jeszsze piękniejsze, w Krakowie i Wilnie, bo w nich się uosobiła przeszłość, i jak człowiek mówi o sobie. W Dobrzyniu *Zamczysko*, góra tak zwana, dzwigała na sobie niegdyś zamek, którego ślad widać w studni, głęboko nurtującéj jéj wnętrzności. Dziś ręka przemysłu psuje górę dla wydobycia węgla kamiennego — byłem w szybie o kilkadziesiąt sążni w głębi, i widziałem zręby sudni, — ślad zamarłéj przeszłości, złożony w ziemi, jak ciało człowieka. Przeszłość w zastygłych zwalinach, w popiele grobowców, zmarłe ciało rozesłała po całéj ziemi naszéj

nie tylko w starożytnych zamkach ale i w starożytnych świątyniach. W samém Mazowszu ślady zamków w Płocku, Wyszogrodzie, Dobrzyniu, Czerwińsku, Różaniu, Radzanowie, Czersku, Czechanowie..... a kościołek niemal każdy wzniesiony przez ks. Mazowieckich.

5.

Nad brzegami Wisły wznosi się Nowo-georgiewsk: tam gdzie Narew wpada, panuje śpichlerz piękny jak pałac jakiéj pięknéj Rusałki. Kto się przewozi promem płynie, pod wałami i olbrzymiemi murami twierdzy, potém ciągną się zrównane dziś, a niegdyś grożące upadkiem góry nad-brzeżne, a wąwóz między niemi do Zakroczymia prowadzi. Groźniejszą jest postać Modlina od strony lądu, przejechawszy przez środek po drewnianym moście. — Brześć litewski i Iwangród, ani się porównać mogą z Nowogeorgiewskim i nie dziw: Iwangród wód Wisły, Brześć litewski starego Bugu, a Modlin Wisły, Bugu i Narwi pilnuje. Jest jednak widok piękniejszy na Wisłę z strony prodwadzącéj do Warszawy, nieopodal tak zwanéj *Jawolki*. Drzewa i krzewy prześlicznie porastają brzegi, jeden kraniec twierdzy poważnie się czerwieni.... tylko starożytny Borysten w najpiękniejszém miejscu pod Smoleńskiem, tylko Niemen pod Kownem, gdzie się żeni z Wilią, są bardziéj zajmujące, bo góry piętrzące się nad wodą, są więcej urocze. Podobny widok przedstawia się oku wyjeżdżając z Warszawy na drogę wiodącą ku Miłośnie. Opuszczając Warszawę, widzisz jak Wisła ściska ładną Saską kępę w szerokich ramionach, a jak pałace letnich mieszkań śród parków angielskich, wznoszą się śród kielichów zieloności, piękne i wielkie budowle.—Miłosna, jedyne wzgórze na szosie, i miło zabu-

dowane, domki porządne, białe. Białość, jest-to wydatne piętno Podlasia — tam wszystkie karczmy bielą się zdaleka, białe po wsiach dworki i wiele domków białych. Za Miłosną w lesie sosnowym, jak wszystkie lasy w tych stronach, droga się skręca do Lublina, i wszędzie tak jednostajna, że wprawniejszy dar postrzegania nic-by tu charakterystycznego nie schwycił. Porównywając tylko te miejsca, piasków tu więcéj niż na Mazowszu, wzgórza jak na Litwie, chociaż rzadsze, dobry byt widać na oko nawet. Nie wiem, jak przebywać przestrzeń tak jednostajną, bez wewnętrznych wrażeń — co tu robi ten, co ich nie doznaje? Ha! — żyje fizyologicznie, z potrzeby życia, żyje bo żyć musi, dopóki w nim krew nie zastygnie. To jednak naprowadza mnie na myśl, że u nas, gdzie niémasz bujnego roślinienia Wschodu, ani wschodniéj fantazii, ani południowych piękności, miejsce gry wyobraźni zastępuje miłe uczucie dopełnienia świętych obowiazków, słodycz z zaspokojenia żywych wybuchów i niespokojnych chęci. Są ludźie niepojmujący, nieczujący takiego życia, i ci żyją, jak nieme stworzenia, jak rośliny, jak kamiene, bo mogąż nie żyć? To błogie człowiecze uczucie bytu przez cóż się wyrabia? przez wszystko, co nas otacza. Dla tego niech artysta do Włoch, prawnik do Berlina lub do Gietyngi, matematyk do Paryża jedzie po naukę i sztukę — życia nie nauczy się nigdzie, nigdzie — prócz domu. Dom, rodzina wydają szlachetne owoce woli, a do tego niepotrzeba ani artystycznego wykształcenia ani ognistéj fantazii Wschodu, ani namiętności Niemców — wszystkiego niepotrzeba, ale i więcéj nad to — bo życia, żelaznéj woli i czuwania nad sobą.

Podróż dla myślącego, dla czującego, jest obrazem ziemskiéj pielgrzymki życia, gdzie droga przebyta staje się bezpowrotną i słabą rodzi zadumę. Człowiek ulata myślą w zaświecie marzenień, a potém śród jednostajnych pól i lasów, upada w jakiś pośredni stan między poglądem i pojęciem, poglądu na to, co go otacza,—ale wszystko to nie ima się duszy i le-

dwie muśnie po jéj powierzchni. Jest to stan przechodowy, i dla tego właśnie długo trwać nie może, bo albo znowu wrażenia świata wewnętrznego zaiskrzą się ogniem myśli, uczucia — albo oko ukołysane jednostajnym biegiem świata zewnętrznego, rzuca się na łono spoczynku: ojciec Morfeusz skleja powieki i przyjmuje w swoje objęcia kochające go synowskiém przywiązaniem dziecię. — Najmniéj urozmaicona bywa zwykle szosa — ustronia i małe drogi zapuszczają się w głąb życia rody i wpatrują się w nie, jak drobne niteczki krwiste w najskrytsze serca tajniki. W Stanisławowskiém czuć się daje jakieś ogólne wzniesienie ziemi, mniejszy obszar pól przedstawia się oku niż w Mazowszu, gdzie dopiéro spłaszczenie ciągnących się aż za Wieprz i Pilicę górzystości Karpackich niknie zupełnie, dopóki w Augustowskiém nie pokażą się Nadniemeńskie wzgórza. Te strony mają podobieństwo do znanych mi od dzieciństwa, bo Nadwiśle podobne niemal wszędzie — tam tylko bije w oczy różnica, gdzie wysokie lub spłaszczone brzegi; dowód, że Wisła zmienia koryto, chociaż płynie tak spokojnie — czasem złośliwa jak człowiek, bo cicha woda rwie brzegi.

Lubię patrzéć na obrazy najprostze, jakie roda przedstawia oku, i okiem ducha przenosić się w świat myśli dla znalezienia tam odpowiedniego obrazu — wszakże i niebo przegląda się w zwierciadlanéj wód fali, a dla czegóżby się myśl z niebieskich stron, tu na ziemi przeglądać nie miała? I myślałem sobie:

Droga ograniczona lasem, zasłaniającym dalsze widoki; to człowiek w ciasnym obrębie życia koniecznego, co nie chce albo nie może wychylić się na to koło, zakreślone głupstwem, dumą lub złością. Rozleglejsze obrazy, okolone lasem, to ludzie ograniczający się warunkami życia, ale środkujący w sobie przeszłą i obecną chwilę — to są małe światy, gdzie się spromieniają składowe części rody, niwy i łąki potocznego życia—krzewiną myśli — a potokiem uczucia. Piérwszy ograni-

czony żyje niekiedy lepiéj i nie błądzi, nie tyle zły, bo nie może — ostatni ma wolne pole do cnót i błędów, błądzić może ciałem i duszą, ale za to zdolniejszy do większych poświęceń woli, a szczęśliwy! jeśli jest panem siebie. Okoliczności, chléb, potrzeby fizyczne zmuszają najczęściéj do błędu — ale go nie usprawiedliwiają i po straconych rzetelnych korzyściach, chociażby błogi wpływ sprzyjających tychże samych okoliczności, powiódł człowieka znowu na dobrą drogę, i człowiek znowu stał się godnym siebie, zostanie zawsze rzewny żal i tęsknota. A ta krzewina, zalegająca całe przestrzenie, co znaczy? zapytałem siebie. To człowiek, o którego twardą głowę okoliczności skrzesały trochę ognia, prysnęły i posypały się iskry wątpliwości, niewiary w życie, ale nie rozetliły uczucia, zgasły na wilgotnéj hubce miałkiéj myśli. To nie las — ograniczenie, nie obszar myśli i uczucia, to krzewina — skeptyzmu, wątpienia, wahania się. A wieś? To życie potoczne, gdzie w tło urzeczywistnienia przechodzą nasze uczucia, i to cośmy duchem zgłębili i uznali, wszystko tu rozwija się w duchu konieczności fizyologicznéj, bo potoczne życie jest wypadkowa, między sposobem myślenia i wiatrem, okoliczność, co jak pęd bieżącéj wody unosi ludzi.

Długie to porównanie, bo i droga długa, rozmaitości mało, a pisanie ołówkiem na ręku, dla utrwalenia przepływających myśli, stanowi jedyną i najniewinniejszą w świecie rozrywkę. Człowiek otwarza sobie myślą prawa stworzenia, odwzorowywa w wyobrażni piękność świata, i cóż może być więcéj godnego człowieka w chwilach wolnych od obowiązków? A czas upływa najprzyjemniéj, bo w towarzystwie dobraném, w małżeństwie ducha i ciała; zwłaszcza, jeżeli ciało, istota słaba jak kobiéta, ślubuje posłuszeństwo duchowi, a duch czujący swoje ograniczenie ziemskie, wystrzega się despotycznéj nad swoją połowicą przewagi.

Myśl raz obudzona nie ustanie, jak świat raz pchnięty do odwiecznego biegu. Człowiek z uczuciem, to się zamyśli

na widok świata społecznego, to go przeszłość w zadumę oblecze, rozweseli niewinne głupstwo, złość i cierpienie goryczą napoi, a zaiste godny siebie, bo jest człowiekiem i żyje pełnością życia. W podróży nie postrzeże, kiedy ze świata czarujących dum wypłynie na świat przedsobny i w nim żyje przez czas niejaki — wszystko, co go otacza, odbija się tak lubo na białém tle wyobraźni. Mijam te obce mi strony, i nie chciałbym się wracać niémi, jak drogą młodocianego przebytego życia, gdyby mi nie pozwolono poprawić piérwszego wydania — a jednak miłe mi zostaną nadal wspomnienia przebytych, może niepowrotnie, okolic. Tak pieśń poety dzwoni na pogrzebie zmarłéj przeszłości majestatycznie, organy dziejów grzmią uroczyście lub żałośnie jéj przygrywają, a płacz dzieci wtóruje żalem po zgasłéj matce — teraźniéjszością jednak żyjemy, bo inaczéj życieby się nie ostało. Modlitwa wspomnień, arfa poety, grzmot dziejów dzwonią i jęczą burzą zapadłych w przeszłość wieków na naukę przeszłości — bo to są nieśmiertelne dzieci Boga.

Do Garwolina po drodze nic szczególnego nie uderza oko. Jedna tylko wieś przedstawia nieco starych zwalin, popsutych murów, ale i to starozytność nie klassyczna, starożytność sztuczna, jak są sztuczni staruszkowie w młodym wieku. Jedna tylko brama godna pędzla. Dwór i zabudowania bez żadnéj barwy, wyglądają także jak zwiędły młodzieniec.

Garwolin wygląda biało w położeniu przyjemném śród łąk — małe to miasteczko, ale tak czyste i porządne, że tylko jedno podobne widziałem na przebytéj trzysto-milowéj podróży: Maryampol w Augustowskiém. Cała różnica, że Maryampol murowany, a Garwolin po większéj części drewniany. Za miastem jest piękny *Zajazd w Aleksandrowie*.— Już się słońce chyliło ku zachodowi, kiedym się ujrzał za Aleksandrowem, świeżość wieczora przyjemnie się czuć dawała, a mgły się dymiły po dolinach. Znowu mi na myśl przyszło śród jednostajnéj drogi: do czego ta świéżość wieczora i ta

mgła podobne? Odpowiedź na to przejąłem postrzeżeniem antropologijném — dla czego my tak lubimy porównywać ducha i rodę, dla czego w naszych krakowiakach jeden wiersz świat przedsobny, drugi opiéwa uczucie? Jest-to dążność nasza do pojmowania życia w całéj pełności jego rozwinięcia.

W nocy stanęliśmy w Rykach, o 12 mil od Warszawy — dyliżans ruszył do Lublina, ja ku Wiśle, o mile z górą stąd odległéj. Ryki składają się z dwóch części miasta i wsi, dziś prywatne, i dla tego dziedzic mu się wznieść nie pozwala; aby nie płacić podatków, trzyma je pod tytułem wsi, stąd handel, przemysł uśpiony, więcéj nawet, zakazany. — O dobrym bycie ani słowa, bo dobry byt nie spada prosto z nieba, nie wyrasta sam przez się, jak grzyby po deszczu. Szosa druga przez Ryki ma iść do Łukowa i Siedlec, jednak (jak slyszałem) toby się wtedy tylko mogło przyczynić do wzrostn Ryk, gdyby to miasto zostało rządowém, jak dawniéj, ale nie przy dzisiejszym dziedzicu. Działanie zbawienne rządu we względzie oczynszowania, spodziewać się każe, że i takie miasta jak np. Ryki, nie ujdą jego uwagi. Nam, mającym tylko dobre chęci, pozostaje jedynie zwrócić na to publicznie uwagę — miejscowość bliżéj rozpatrzona więcéj pokazać może. Od Ryk ku Wiśle droga więcéj górzysta, lasy sosnowe przeplatane dębami, piętno Powiśla wydatniéj odbite. Wjeżdżając w dolinę nad Wisłę, widać jaśniejące pysznie przy poranném słońcu czerwone mury twierdzy Iwangrodu. Nieopodal wieś Dęblin, gdzie mieszkańcy dobrze się mają, biorąc zapomogi na sprzężaje dla wożenia materijałów do twierdzy. Minąwszy dolinę, kępiaste i piaszczyste wzgórza, ujrzałem Iwangród zbliska, i przed nim w dolinie domki po różnych stronach dla fabrykantów i robotników, piaszczyste wzgórza bijące w oczy, i piasczyste wały usypane pod murami — dziwnie te białe wały i białe na cynkowym pokryciu kominy odbijają od czerwonych murów. Modlin groźniéjszy w swoich posadach, gróźniejszą i na oko ma postać. Zbliżywszy się pod Iwangród widać strzelnice do armat, jakby

okna, a cały bok twierdzy, jak wielki śpichlerz zbożowy. Podobno dla obrony od strony lądu mają przepuścić wodę od Wisły, rzecz, ile mi się zdaje, niezbyt kosztowna, bo od twierdzy do wzgórz piasczystych położenie bardzo niskie. Droga do Stężycy, wysadzona w części lipami, prowadzi obok osad odgraniczających ją od Wisły, i zbudowanych na piasczystém wzniesieniu. Wzniesienie to nie jest znaczne, ale nigdy nie zalane wodą, jak przeciwne brzegi Sandomierskiego — woda rwie tylko brzegi w Podlaskiem. Gdzie dziś Iwangrod, tam dawniéj była wieś Modrzyce, ale gospodarzy przeniesiono z-nad Wisły na wzgórza, oczynszowano, i teraz dobrze się mają, bo zarobkują pod fortecą. Wisła w tych stronach nierównném płynie korytem, i dla tego odbija się pęd wody po jednéj lub drugiéj stronie, i psuje brzegi — podlega temu Podlaskie od tąd zwłaszcza, kiedy na lewym brzegu zaczęto prowadzić wał obronny od wody. Koryto skrzywia się pod Stężycą, o któréj, jak Krasicki o Ryczywole, jak o wielu miasteczkach naszych zamilczałbym, gdyby nie gawędka z Podlasiakiem, który mnie wiózł tędy— mówił, a ja za nim pisałem: „E! to jakieś głupie miasto ta Stężyca — jarmarków nié ma, było sądowe, tak oto jak Żelechów, a teraz i papiéry przenieśli do Żelechowa. Ale to dobrze, że aby pańszczyzny nie robią ludzie jak w Rykach, i Żydom też tu nie wolno mieszkać, niech Pan Bóg broni. Oto dwa kościoły widać — jeden to klasztor. Tu się zjawił Ś. Antoni! tém cudowne miéjsce, i odpusty bywają. Ziemia tu taka, że same piaski, a tam daléj od Wisły to wej jeszcze gorzéj, bo kamienie takie, że orać nie można, a nigdy ich nie wyzbiera, bo na pół z ziemią. Przed miastem oto, co widać wodę tu gdzie jedziemy, to Wisła precz wylewa aż do tych gór z piasku, co widać, a do miasta to nie dostaje, tylko brzegi podrywa.“ Tymczasem zbliżywszy się pod Stężycę, wchodzącą w rzekę w postaci przylądka — kępa piasczysta ciągnie się na wodzie przed miastem, a jasność słońca, rozlana po zwierciadle wód, mile bawi oko. Za tém zwiercia-

dłem czernią się lasy, czerni sie całe Sandomierskie, a droga w Podlaskiém wiedzie śród łąk wysadzanych wierżbami, zrosłych krzewin bramowanych piasczystemi wzgórzami, co się bielą, jaśnieją w dali — jak nić przewodnia znacząc Powiśle, choć sama rzeka znika przed okiem. Dobry byt znać tu wszędzie, a tém więcéj uderza oko, przywykłe patrzéć na nędzne chaty na Litwie. Tam domy bez kominów z okrąglaków, tu wysokie, nawet po wsiach porządniejsze niż po litewskich miasteczkach np. w Długiéj-Woli, Pawłowicach. i t. d.

Paprotnia leży nad Wisłą, nieopodal przewozu a na przeciwnéj stronie w Sandomierskiém Samowodzie. Piękna Wisła wezbrała, i teraz płynie jak burżliwy młodzian, śród nieoznaczonego łożyska, bo nigdzie nad Wisłą nie widziałem dotąd tak mało ubezpieczonych po obu stronach brzegów. Patrząc na nie z płynącego statku, widać poobrywane i niskie zielone brzegi Podlaskiego, a w dymnéj dali czarne Sandomierskie lasy—i nie dziw że czarne, bo tu żył Kochanowski, tu *Czarnylas*, gdzie opiewał święte przodków naszych cnoty i domowe ich życie, pobożność i grzechy. Piękna jest Wisła śród jasności południa, kiedy przejrzysty błękit nieba uściela się sporadycznie archipelagiem białych obłoczków, bo cóż wtedy podobniejsze do pełnego szczęścia, cnotliwego przeświadczenia o niebieskim początku prawego życia? Niebo zostaje, Wisła zostaje, i przekonanie zostaje jedno i to samo, chociaż się porusza prom życia, i krzyki przewoźników mięszają się, jak potoczne potrzeby życia. Witam cię ziemio Sandomiérska! strojna nadwiślańskiemi brzegi, więcéj urozmaicona, niż rodzinne moje strony, bo dziedziczka gorzystości w spadku po Karpatach i Tatrach. Wielkie kępy drzew po różnych miejscach sadzone, wyglądają jak sady, a chatki rozsiane tu i owdzie, niby od niechcenia, przypominają całą poezyję życia wiejskiego. Zbliżałem się w te strony z uczuciem, jakiego się doznaje na widok stron nieznanych, zbliżając się do osób drogich wspomnieniu. Może kiedyś na granicy życia z wiecznością owładnie mną podobne uczucie, a przenosząc

się z biednego ziemskiego życia w nieznane krainy, pomyślę i o téj chwili. Równie piękna jest Wisła w nocy, kiedy promienny smug światła, odbitego od księżyca, kołysze się po powierzchni czarnéj wody i w rozmaite wiązki układa; kiedy wszystkie światełka przeglądają się w wodzie, a gwiazdy piérwszych wielkości odbijają się w postaci białawych jasnych obłoków. Wtedy na środku Wisły, któréj wody rozlały szeroko w postaci jeziora, widać jednę ogromną kulę, *dwa nieba* i *dwa księżyce*, a brzegi schodzące się na około, są jak czarna przepaska rozdzielająca te dwie półkule. Na taki widok trudno pamiętać o sobie, głowa i serce zatapia się w niebie, słodycz nie do opisania rozlewa ciepło miłych wrażeń, i wtedy tak mi nic nie potrzeba, tak mi dobrze, tak jestem szczęśliwy, bo nakarmiony pięknem świata tego.

Jeżeli podobną powierzchnię wód zmarszczy wiatru tchnienie, jeśli pośród południa białawe obłoczki napiją się wilgoci i szaremi chmurkami nabrzmieją, jeśli słońce zajdzie za jednę z takich chmurek i cień się rozleje po wodzie — nowy to obraz, i zdaje się wtedy, że oddech dziewicy pokrył jasność zwierciadła.

Nad brzegami widać mnóstwo karp, sterczących nawet śród wody, co je tam uniosła — przypomniałem sobie kamienie na brzegach Niemna, i skaliste sapy, i Rumszyskiego olbrzyma Adama. Po drodze do Samowodzia wszędzie błoto i wody po różnych miejscach — słowem, *sama-woda*, *Samowodzie*, które jednak dawniéj tę nazwę przyjęło. Z akt 16 wieku pokazuje się, że Paprotnia i Samowodzie, dziś leżące po obu stronach Wisły, graniczyły ze sobą, a Wisła płynęła aż pod wzgórzami, ciągnącemi się nieopodal wsi Janikowa — wtedy Kozienice leżały nad Wisłą, a dziś prawie milę odległe. Około 1572 r. (jak się dowiedziałem na miejscu) nastąpiła nadzwyczajna zmiana w kierunku naszéj rzeki, i zalała zupełnie inne miejsca, wynurtowała sobie dzisiejsze łożysko, a w miejscu dzisiejszego Samowodzia szeroko się rozpostarłszy, spły-

wała powoli w nowe koryto. Tylko w nazwie wsi zostały ślady jéj starowiecznego pobytu, do którego jednak i dziś ciekawa zagląda, jak to pokazują wody, błota po różnych miejscach i wiślisko, łacha na znacznéj przestrzeni, ale odcięta od rzeki mocnym wałem. Przejechawszy wał, ujeżdza się do Samowodzia, rozciągającego sie śród drzew, a osobliwie mnóstwa wierżb które, w czasie wylewu zastępują łąki na paszę, i dla tego troskliwi o dobro ludu dziedzice zabezpieczyli im wraz z gruntem i łąkami, pewną liczbę wiérżb na paszę.

(d. c. n.)

Kronika Piśmiennicza

POLSKA.

323. Athenaeum.

Oddział III. Zeszyt VI. Pismo zbiorowe, poświęcone Historyi, Filozofii, Literaturze, Sztukom i t. d. — Wydawca J. I. Kraszewski. Wilno, nakład i druk T. Glücksberga. 1843. Zawiera:

HISTORYA.

1. *Nowe zródła historyczne:*
Kodeks dyplomatyczny Wielkiéj-Polski, zawierający bullę Popieżów, nadania książąt, przywileje miast, klasztorów i wsi, wraz z innemi podopnéj treści dyplomatami, tyczącemi się historii téj prowincii, od roku 1136 do roku 1597 zebrany, z materijałów przez Kazimierza Raczyńskiego, byłego jenerała wielkopolskiego i marszałka nadwornego, koronnego, przysposobionych, wydany przez Edwarda Raczyńskiego.

Jest to wiadomość o powyższém dziele — artykuł nadesłany z Poznania, pełen wartości — (dalszy ciąg nastąpi).

2. *Ekonomija polityczna:* O podziale i organizacii pracy — (ciąg dalszy.) — Artykuł ten najszlachetniejszéj dążności, bo wskazujący różnicę pomiędzy pracą niewolnika a wolnego człowieka, bo przymawiający za uciśnionym ludem, — oby przez każdego, a mianowicie przez dziedziców dóbr, był czytanym (dalszy ciąg nastąpi).

SZTUKI.

Krótki rys dziejów malarstwa: Okres II, przez K. I. Komornickiego. — Przedmiot ze znajomością rzeczy, obszernie wyłożony.

LITERATURA.

1. *Ułamek z kroniki miasta Warszawy.* 1657 r. miesiąc maj, przez K. W. Wojcickiego. — Obraz z wojny szwedzkiéj, sposobem powieściowym napisany, pełen zajęcia — czytelnik z żywém uczuciem przenosi się w owę chwilę radości z odniesionego zwycięztwa.

2. *Klątwa* przez tegoż.

Wyjaśnia nam autor srogość rzuconéj z kazalnicy klątwy na przestępcę, i jak niekiedy wielkie w téj mierze popełniano nadużycia. —

3. *Bankrutctwo.* Powieść przez S. W. Grozę. —

Autor wystawia nam bankructwo dumnéj i arystokratycznéj hrabiny, która łudząc łatwowiernych, za pomocą kilku niegodnych, znaczne pozpożyczała summy. Pomiędzy wierzycielami był rotmistr Felin, który przewąchawszy nakoniec rzecz całą, energicznym czynem swoje odebrał pieniądze. — Przedmiot i charaktery osób dobrze oddane — niektóre okresy nieco przewlekłe.

4. *Samotność,* wiersz — mierne naśladowanie z Bajrona — alеż napisane *w czasie tańcującego śniadania.* —

5. *Do X. Z. S.* — wiersz niezły — przez Wojciecha Potockiego.

ROZMAITOŚCI.

1. *Dwa manifesta z roku* 1744. przez E. M. (Galli). — Powiastka humorystyczna, z talentem napisana — zdolna zabawić czytelnika. Szkoda tylko że pani Teofila z Stepkowskich Szuszczańska tak wcześnie umarła.

2. *Żytomierz.* Wiadomości historyczne przez Polkowskiego. —

324. Wieczory Zimowe.

Oddział 1 — 2 tomy. Warszawa. Nakładem I. S. Jasińskiego. W drukarni Dietricha 1844. Zawierają 2 powieści tłum: z francuzkiepo Karola Bernarda: *Zięć*, zajmuje cały piérwszy tom i 67 str. drugiego — *Konduktor* od str. 60 tomu drugiego do 195. —

Tłumaczenie, jakkolwiek lepsze od wielu innych, przecież nosi ślady spolszczonéj francuszczyzny, jak n. p. na str. 38 tomu II: *Spuściła więc pawilon* (?!) — dla czegoż nie było powiedziéć *zwinęła chorągiewkę?* —

325. Nowa biblioteka tegoczesnych autorów.

Oddział II zawiera: *Zawsze ten człowiek!* romans Pawła de Kock. Tomów 4. Warszawa, w księgarni S. Orgelbranda 1844.

Możnaby zawołać: *Zawsze ten Kock!* — Dla czegoż przynajmniéj przekładacze lepszych nie czynią wyborów? —

326 Głupi Franek i Nowy smętarż.

Dwie powieści pogrobowe, oryginalnie napisane przez E. Ł. Wydanie pośmiertne. W osemce, str. 172. W Warszawie, w drukarni Józefa Ungiera, 1844.

Głupi Franek z godłem:

Patrzysz mi w oczy, zgubna twa prostota,
Lękaj się jadu, który w oczach żmii płonie,
Uciekaj nim cię oddech zatruty owionie,
Jeśli nie chcesz kląć reszty twojego żywota.

Hrabia Alfred S., syn młodszy bogatego obywatela z Galicii — nie kochany przez ojca — powraca po trzech latach podróży za granicą, i zastaje kochankę swoję wydaną przez rodziców za jego starszego brata Henryka. — Pojedynek między braćmi — Alfred mniema, że zabił Henryka, i obciążony przekleństwem ojca uchodzi z stron rodzinnych. Pod przybraném imieniem Franka — któremu lud dla jego ciągłego zamyślania się, niezdatności do pracy i unikania społeczoństwa ludzi, nadał miano głupiego — Alfred zamieszkał nad brzegiem Wisły, i w sukni wieśniaczéj przewoził łódką swoją podróżnych. Tutaj uratował z toni Anusię, córkę dzierżawcy Rolnickiego — która następnie, słysząc różne wieści o tajemnicą osłonionym młodzianie, nader ułudny o nim obraz w swéj młodéj wysnuła wyobraźni. Oboje widywali się niekiedy na wybrzeżu Wisły — ale Franek pozostał smutnym i tęsknym — upadającym pod ciążącą na nim zbrodnią — pod klątwą ojcowską! — Nadszedł dzień ś. Jakóba, a z nim nawałne wezbranie Wisły i wylew gwałtowny — trwoga nieszczęsnych Powiślanów — i utrata znacznéj części ich mienia — Franek wytęża wszystkie swe siły na ratunek zatopionych, i znajduje sam śmierć w rozpienionych nurtach. Anusia ujrzawszy trupa jego, pada w rzekę. — To jest cała osnowa nader zajmująco, rzewnie i z czuciem skreślonéj powieści. Lecz więcéj jeszcze przemawia do serca i duszy następująca — więcéj jeszcze głębokiego czucia dowodzi, przejęcia się cierpieniem — i więcéj jest naturalną od poprzedniéj. — *W Nowym smętarzu* z godłem:

W twarzyczce bladość opłatka,
Ręce stygną a serduszko

Bije zcicha, bije zrzadka,
Już stanęło — już jéj nié ma!

Kto też tu piérwszy będzie spoczywał?

Autor przenosi nas na niemiecką osadę—przedmiot świéży jeszcze — wystawia nam obraz wyrudowanego lasu, budujące się domy kolonistów — i w chwili właśnie, gdy ciż nowy smętarż zakładają. Poznajemy poczciwego Gottlieba rodzinę — jego sędziwego ojca — żonę — dzieci — i wnuki. Zajmuje nas przedewszystkiem luby obraz Lizy, najmłodszéj jego córki; ale młoda Saksonka zostawiła w Ojczyźnie swojéj kochanka, Henryka— a przybyły ztamtąd narzeczony jéj siostry, przynosi wieść z sobą, jakoby Henryk miał bogatą wdowę zaślubić. Srogim bólem przejęła ta nowina serce dziewczęcia — ona tai swój smutek — ale tęskni — więdnieje — usycha z uśmiechem na ustach— i po dwóch latach piérwsza z całéj osady spoczęła na nowym smętarzu! — Tego samego wieczora przybywa Henryk po sto-milowéj wędrówce — pisywał on po kilka razy przez różne sposobności, ale listy nie dochodziły — i gdy sobie nieco pieniędzy uzbierał, biegnie gorące serca życzenia wypełnić: osiedlić się w Polsce i Lizę zaślubić — zastaje grób jéj — i w świat daleki uchodzi. —

Powieści te, jakkolwiek z prawdziwą przyjemnością czytane, przecież wyraźnego celu nié mają. — Obrazowanie jest nader zajmujące rozwodzenie się nad okolicą, a raczéj pieszczenie się z naturą, niemal z każdym krzaczkiem i trawką, zbyt przewlekłe. — Wyratowanie Anusi przez Franka od utonięcia, także już w powieściach nader często użytém jest zdarzeniem. — Wystawienie nam cnót domowych osadników niemieckich, ich obyczaje i rządność, stanowią zaletę téj książki—

327. Łucija Kalińska czyli Cztéry kuligi. Powieść historyczno-obyczajowa (?!) z końca XVIII wieku. napisał I. Bohdanowicz. Tomów 2 — str. 298 i 323 — w osémce mniejszéj. Warszawa, nakładem B. J. Salcszteina księgarza. W Drukarni St. Strąbskiego 1844.

Gdyby się *Łucija Kalińska* była w ubiegłym stuleciu na niebokręgu piśmiennictwa ukazała, kiedy jeszcze było w modzie bohatérki romansów na wszelakiego rodzaju przygody, intrygi i niebezpieczeństwa narażać; kiedy owe biédne Pamele, Klaryssy i t. p. musiały odbyć próbę ognia i wody zanim do portu szczęścia dobiły — wspomniona *powieść historyczno-obyczajowa* byłaby się zapewne podobała.

Nowości.

Nowe pismo perijodyczne, pod tytułem: D w u t y g o d n i k l i t e r a c k i, poświęcone historyi, literaturze i sztukom pięknym, zaczęło wychodzić w Krakowie. Wydawcą jest J. Cypcer, Redaktorem Walerijan Kurowski, synowiec zaszczytnie u nas znanego Jana Nepomucena Kurowskiego, wydawcy tylu dzieł tak pożytecznych, szczególniéj w zakresie agronomicznym i Redaktora tak dawno wydawanego pisma pod nazwą Z i e m i a n i n, Tygodnik rolniczo technologiczny. Pismo krakowskie, liczy początek swego nastania od 1 kwienia r. b. —